

# Dom proroka Eliasza

 newsweek.pl/plus/spoleczenstwo/hospicjum-proroka-eliasza-czyli-dom-starosci-na-podlasiu,artykuly,426381,1,z.html

April 22, 2018



Dr Paweł Grabowski na działce we wsi Makówka, gdzie ma powstać hospicjum.

Fot. Adam Tuchliński

– Koniec życia to bardzo ważny czas. Trzeba zadbać, by nie był to czas upokorzenia. Jeśli nic nie boli i człowiek czuje się zaopiekowany, nigdy nie powie, że już ma dość życia – mówi dr Paweł Grabowski, który założył na Podlasiu wiejskie hospicjum domowe.

Obiecywał sobie: nie chodzić na pogrzeby. Ale skoro zapraszają. Mówią przed śmiercią: niech doktor przyjdzie na mój pogrzeb...

– Wiedzą, że umierają, dają polecenia, jak ma być, kiedy ich już nie będzie. Tu, na Podlasiu, śmierć traktuje się naturalnie, jak część życia. Nie wypiera się jej, nie udaje, że jest czymś, co nas nie spotka. Choć oczywiście i tu zdarzy się czasem dom, w którym próbuje się unikać tematu – mówi dr Paweł Grabowski, który założył pierwsze w Polsce wiejskie hospicjum domowe. Bywa, że jadą z pielęgniarką na wizytę, mają w karcie „rozsziany nowotwór”, a córka, która zajmuje się chorą mamą, czeka na nich przed wejściem i prosi: „Tylko nie mówcie jej, że ma raka, bo ona tego nie zniesie”. Później matka, gdy córka nie słyszy, prosi: „Tylko nie mówcie córce”.

## Pustki

– Chorzy najczęściej wiedzą, co im dolega. Udawanie przed nimi, że to nic takiego, jest bez sensu – tłumaczy dr Grabowski. Siedzimy w przychodni w Michałowie, 30 km od granicy z Białorusią. Hospicjum dostało tu kąt na biuro i wypożyczalnię sprzętu potrzebnego chorym – są materace przeciwoślężynowe, chodziki, wózki, koncentratory tlenu. Pod ścianą, w walizeczce, przenośny aparat USG подарowany przez kawalerów maltańskich. Doktor

może przykutym do łóżka chorym robić w domu ultrasonografię. Ma też komplet narzędzi do wrywania zębów, nazywa to zestawem małego dentysty. Chorego, który leży półprzytomny, wycieńczony chorobą, nie da się przetransportować do gabinetu stomatologicznego.

Domy tu w większości stareńkie. I ludzie na ogół mają już swoje lata. Wchodzisz, a tam chory staruszek z chorą staruszczką. Coraz rzadziej spotyka się wielopokoleniowe rodziny, w których przy starzejących się rodzicach są dzieci i wnuki.

Pani Rufina z Szymek z Podlasia: Jak zmarł, ja nieraz pytała: Misza, czy twoja dusza żyje? Aż w końcu mi się przyśnił. To może jakiś znak, że się z nim spotkam?

– Młodych tu jak na lekarstwo. Powyjeżdżali do szkół, do pracy. Osiedli w Białymstoku, Warszawie albo za granicą. Są wsie, w których już tylko połowa domów jest zamieszкана, reszta pusta, gospodarze pomarli – mówi doktor. Od jednego chorego do drugiego ma kilkadziesiąt kilometrów i gdy jedzie przez lasy, pola, czasami nikogo po drodze nie zobaczy.

Pustki. I wszędzie daleko. Badając pacjentów z rozsiałym nowotworem, dobiera im leki, najlepsze z możliwych. Potrafi obniżyć poziom bólu, zniwelować wymioty, podtrzymać apetyt. Tylko za każdym razem, gdy wypisuje recepty, martwi się, jak oni je zrealizują? Są bowiem rodziny bez samochodu i wsie, w których nie zatrzymuje się żaden autobus. A do najbliższego punktu aptecznego jest czasami 40 km, do apteki nawet i 70.

## Czułość

---

Pani Luba (nowotwór, udar, pęknięcie kręgosłupa) mieszka w Nowosadach, trzeba z równej drogi do Hajnówki odbić w kiepską, na Szymki, stąd już tylko skok i Białoruś.

Kiedyś mieli tu szkołę, kółko rolnicze, kilka sklepów. Teraz nic. Pozamykane. A sprzedaż chleba, mąki, cukru jedynie obwoźna. W dzień, kiedy „sklep” ma przyjechać do wsi, wiesz się na płocie przed domem reklamówkę, co jest znakiem dla kierowcy, że tu ma się zatrzymać, poczekać. Bo po chwili, drobiąc kroki, jakiś staruszek lub staruszcza, wyjdą, coś kupią.

– My same. Uże bez dzieci – mówi pani Luba. W niewielkim domu, przy którym stoi duży prawosławny krzyż, mieszka tylko ona, niewstająca z łóżka, i 80-letni mąż. Mówi o żonie z czułością, że wziął sobie dziewczynę najpiękniejszą z całej wsi. A ona na to, śmiejąc się, że z niego był kawaler brzydki, ale z wiekiem się wyrobił.



Wizualizacja hospicjum, które w podlaskiej Makówce chce zbudować dr Grabowski.

Dawniej była z nimi córka, niepełnosprawna, ale teraz nie poradziłby sobie, więc córka jest w ośrodku opiekuńczym. Mieli też syna, ale nie żyje. Teraz najbliższa jest Irenka, która sama niedawno co wygrzebała się z raka. Mieszka 90 km stąd, ale przyjeżdża, żeby cioci Lubie prześcielić łóżko, pomóc wujkowi ogarnąć dom. Nagotuje im, posprząta. Ostatnio patrzy, u cioci Luby kręgosłup wysunięty, coś jakby guz, nie guz. Wezwała karetkę. – Ja myślała, że ciocię w szpitalu położą, przebadają. A oni potrzykali przez noc na izbie przyjęć i odwieźli do domu. Ani leków nie dali, ani jeść, ani pić, ani położyć się. Wróciła umęczona – mówi pani Irenka. Zadzwoiła do doktora Pawła, żeby przyjechał, może coś poradzi.

## Cisza

U pani Rufiny w sąsiednich Szymkach (81 lat, niedowład od pasa w dół, cukrzyca, chore serce, rak trzustki) słyszę, że bez doktora Pawła to by nie było jak żyć. – Tu niedaleko, w domu, zanim jeszcze nastał pan doktor, leżała kobieta, też rak w brzuchu. Jakże ona strasznie jęczała – opowiada pani Rufina. Aż po wsi się niosło. A teraz w tych domach, gdzie leżą ludzie z rakami, cisza. Mają leki przeciwbólowe.

– Jak widzę, że stan się pogarsza i trzeba by było zwiększyć dawkę, dzwonię do doktora Pawła, przyjeżdża. Czy dzień, czy noc, czy święto, jeszcze nigdy nie powiedział, że nie da rady – mówi synowa pani Rufiny. – Nie mam słów, żeby oddać, jaka to ulga. Gdyby nie on, to co? Za każdym razem, jak się pogarsza, wzywać pogotowie? – mówi.

Już wie, jak to jest z tym dzwonieniem na pogotowie. – Przyjadą, zobaczą: pacjentka nierokująca. Nie biorą. Możesz wzywać kilka razy z rzędu, zawsze to samo: przyjadą i odjadą. – A jeśli już zdecydują się zawieźć do szpitala, to nigdy jeszcze nie trafiła dalej niż na SOR. Potrzymają kilka godzin, odwożą. Kiedyś, jak zabrali, to ja szybko w samochód,

za nimi, żeby dopilnować przyjęcia, ale gdy dojechałam do szpitala, to się okazało, że już odesłali ją do drugiego, a z drugiego przewieźli do trzeciego. Jeździłam i szukałam, gdzie jest? Ukradli człowieka czy co? A oni wozili ją od szpitala do szpitala, wyciągali z karetki i wciągali z powrotem. W żadnym nie chcieli jej przyjąć.

## Znak

---

– Jak się budzę, to pierwsze myślę: żeby nie bolało. Drugie: żeby spokojniej było na nerwach, bo jak mnie zabiera karetka, to nerwy. Ja by już wołała odejść w spokoju – mówi pani Rufina. – Wszystkie modlitwy ja już przemówiła i mnie by było niestraszno nie żyć.

Leży w łóżku, zastanawia się, gdzie trafi po śmierci. – To ciekawe, jak tam będzie? Czy tam się żyje tak samo? – pyta.

Wolałaby jednak, żeby trochę inaczej, lżej, bez chorób.

– Kiedyś tu, oj, niedaleko żyły dwie siostry, i ta, która pierwsza umrze, miała tej drugiej powiedzieć, jak tam jest. Po śmierci ta starsza przyśniła się młodszej, ale niestety, nie chciała nic powiedzieć, odwróciła się plecami. Mnie kiedyś tatuś się przyśnił. Szłam z siostrą, ucieszył się, że nas widzi, podał rękę, ale najpierw siostrze. I ona umarła, a ja wciąż żyję. U mnie były dwie siostry i dwa braty, a teraz tylko ja została się. Pan Bóg, jak myślę, da spotkać się z nimi. No i z mamą, która zmarła, jak byłam mała. Słabo mamę pamiętam, nie wiem, czy rozpoznam. Najbardziej to bym się cieszyła z zobaczenia Miszy, to mój najukochańszy brat, taki troskliwy, opiekujący się. Jak zmarł, ja nieraz pytała: Misza, czy twoja dusza żyje? Aż w końcu mi się przyśnił. To może jakiś znak, że się z nim spotkam?

## Różowe kartki

---

– Koniec życia to bardzo ważny czas, w człowieku dzieje się wtedy bardzo wiele rzeczy – mówi dr Grabowski. – Powinno się zadbać o to, żeby nie był to czas upokorzenia. Jeśli nic nie boli, człowiek czuje się zaopiekowany, potrzebny, nigdy nie powie, że już ma dość życia.

Słyszy, niestety, takie rzeczy, gdy pacjent wraca ze szpitala, w którym trzymało się go na korytarzu, rzucało uwagi, że narobił w pampers aż po pachy i co teraz z nim, takim śmierdzącym, zrobić? Tak, wtedy po takim upokorzeniu już się nie chce żyć.

Jak chory wpada w taki dół i mu się pogarsza rodziny dzwonią, proszą, żeby przyjechać, porozmawiać. Jedzie. Są takie dni, jak ostatnia środa, że spiętrzają się wezwania i nie wie, czy mu zaraz z wyczerpania nie pójdzie krew nosem. Choć założone przez niego domowe hospicjum to już całkiem spory zespół – poza nim jeszcze jedna lekarka, pięć pielęgniarek, dwóch fizjoterapeutów, psycholog – to jednak trzeba się uwijać. W biurze hospicjum, na ścianie, jest tablica z nazwiskami chorych, do których dojeżdżają, żeby podać leki, doradzić, podtrzymać na duchu. Teraz na tablicy mają 30 kolorowych kartek. Niebieskie – to pacjenci, za których NFZ zgodził się zapłacić. Różowe – nieobjęci refundacją. Różowych więcej.

– I co zrobić? Nie jechać, bo NFZ za to nie zapłaci? – mówi dr Grabowski.

Męczy go pisanie wniosków, ciągle proszenie o pieniądze na działanie hospicjum i ten urzędniczy język, w którym leczenie to usługa, a chory to świadczeniobiorca, w dodatku na ogół niespełniający kryteriów. Więcej wsparcia niż od urzędników dostają od ludzi, którzy odpisują jeden procent. Do tego organizuje się charytatywne licytacje, zbiórki.

Znajomi dziwili się – co go naszło, żeby wybrać sobie Podlasie? Jeździ po tych skromnych wsiach, do tych skromnych ludzi w skromnych chatkach, a przecież mógł zrobić karierę w Warszawie. Jest po stomatologii, po studiach na wydziale lekarskim, po doktoracie. Ma specjalizację z chirurgii twarzowo-szczękowej, pracował w klinice onkologicznej, operował nowotwory głowy i szyi.

– Ale równocześnie już wtedy robiłem specjalizację z medycyny paliatywnej. Jak teraz patrzę wstecz na swoje życie, na wiersze, które zacząłem pisać jeszcze wtedy, gdy byłem studentem stomatologii, to mało jest tam o zębach, a dużo o cierpieniu, o końcu życia. Już chyba wtedy, podświadomie, kierowałem się w tę stronę – mówi.

W Warszawie, po dyżurach na onkologii, szedł do pracy w hospicjum. Po pracy pisał wiersze i sztuki teatralne. Życie miał wypełnione. Ale umarł. Serce stanęło na 45 sekund, trzeba go było reanimować. I choć nie ujrzał ani światełka w tunelu, ani żaden głos nie powiedział mu: „doktorze Grabowski, rzuć wszystko i załóż hospicjum na końcu świata”, to jednak właśnie po tym, jak otarł się o to, co można nazwać kresem, postanowił zrobić coś, o czym wcześniej nawet bałby się pomyśleć.

– Gdy sobie uświadomisz, że wystarczy mały pstryk i już cię nie ma, nabierasz odwagi. To taki moment, gdy myślisz: może trzeba zrobić coś wariackiego? – mówi. Bo to było naprawdę wariackie – wynieść się z Warszawy na podlaską wieś, zamienić pewność, że co miesiąc na konto wpłynie pensja, w niepewność, czy wystarczy na benzynę, żeby móc dojechać do chorych. Założone przez niego Podlaskie Hospicjum Onkologiczne początkowo było wyłącznie społeczne. Pierwsze kontrakty z NFZ udało się podpisać dopiero niedawno.

## Kamień

---

– Trafiłem do domu, w którym po wodę trzeba iść do studni, pranie robić w starej frani, a u chorej już nie trzymały zwieracze, więc trzeba było ciągle przebierać, prać, suszyć. Zdałem sobie sprawę, jak skrajnie wyczerpujące jest opiekowanie się chorym w tak trudnych warunkach – mówi dr Grabowski.

U starszych osób choroby nowotworowe przebiegają wolniej niż u młodszych, rak to nie jest, jak może niektórzy sądzą, szybki wyrok. To raczej wyniszczanie powolne. I chorego, i rodziny, jeśli zostawić ją bez wsparcia, w tym rytmie: przewiń, nakarm, podaj leki.

Gdy schorowany mąż musi się zająć jeszcze bardziej od niego schorowaną żoną, nie daje rady. Rozwiązaniem byłoby stacjonarne hospicjum, ale takie są tylko w miastach. Zbyt daleko.

– Zabrać żonę mężowi albo męża żonie do miasta, które jest 60 km od domu, to skazać ich na to, że przestaną się widywać. Jedno do drugiego nie dojedzie – mówi dr Grabowski.

Marzy mu się zbudowanie takiego hospicjum, do którego z okolicznych wsi łatwo byłoby się dostać, choćby rowerem.

Niedawno był w Ziemi Świętej i na górze Tabor, zwanej Górą Przemienienia Pańskiego, skąd wziął kamień z myślą o tym, że będzie kamieniem węgielnym pod budowę takiego hospicjum. To dla niego niezwykle ważne, żeby wmurować właśnie ten kawałek skały z góry, na której Jezus rozmawiał z Mojżeszem i Eliaszem.

Doktor Grabowski za patrona hospicjum wybrał właśnie proroka Eliasza, który jest czczony przez wyznawców wszystkich religii, co jest ważne tutaj, gdzie w jednych domach mówi się „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, a w drugich „Sława Isusu Chrystu”, gdzie styka się Wschód z Zachodem, a obok katolików są prawosławni i muzułmanie, dawniej byli też Żydzi.

Zauważył, że wiara działa na chorych nie mniej silnie niż leki, więc ważne, że patronem jest prorok Eliasz, ważne, że hospicjum będzie budowane na planie krzyża. Projekt już gotowy, bardzo podobny do domu dla trędowatych, który o. Jan Beyzym wybudował kiedyś na Madagaskarze.

– Zbieramy pieniądze, żeby wbić łopatę – mówi dr Grabowski. Ziemia, na której wyrosnie hospicjum, już jest: we wsi Makówka, gmina Narew. Obok samosiejnego lasu, więc doktor oczami wyobraźni już widzi, jak się wywozi chorych z sal między drzewa, na polanę, żeby nie patrzyli w sufit, tylko mogli popatrzeć w niebo.

Doktor wierzy, że stamtąd z kolei patrzą w dół ci wszyscy pacjenci, którzy odeszli. Przyglądają się temu, co planuje.

**Fundację Hospicjum Proroka Eliasza można wesprzeć, wpłacając datki na konto: 52 8060 0004 0551 0139 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Białymstoku, oddział w Michałowie.**

*Fot. Materiały prasowe*